

Mariola Konieczna „Czas bieli”

Wiało. Przystawiało w głowie. Otumaniało, drażniło. Już wiedzieliśmy, jak skończy się ten wieczór, noc, poranek.

Rozstrzelone reakcje na wszystko dookoła zastanawiały i jednocześnie uspokajały powtarzalnością. No tak – jak wieje, wszystko stoi na głowie, a ty trzymaj się krzesła, stołu, dobrych myśli, błysków w oknie i dźwięku docierającego nie wiadomo skąd. Otul się jego epifanią, zagraj z nim fugę, usiądź. Zszyj się w koc, rozepnij guziki, zamieszaj kawę. Czytaj, śledź, rozglądaj się. Nie przymuszaj ciała do rzeczy, które mogą zaszkodzić przepływowi wiatru i pochodnych przez twoje wnętrze.

Wracają od czasu do czasu. Proszą się o słowa, obraz, wybrzmienie. Były bielusieńkie, złożone przy skarpie w pryzmę, a może nałożone na nią jak warstwa werniksu. Połyskiwały w słońcu południa. Zatapiały się w pamięć, świeżą wówczas jeszcze, dziecięcą, choć dojrzewającą w interwałach, z miarowym nieznacznym przyśpieszeniem. Trzy tysiące, może dwa. Były wśród nich czaszki, albo nie były. Pamięć jest dziwna, kapryśna, zachowuje dla siebie niektóre rzeczy, a pozostałe wydziela, kiedy jesteśmy grzeczni lub za karę.

Mały chłopiec trzymał w dłoni jedną z kości i pytał, co to jest. Chodźmy stąd, to ludzkie kości. Skąd wiedziała jako sześciolatnie wówczas dziecko? Nigdy się nie dowie.

Złote kłosa leniwie poddawały się muśnięciom płynącego powietrza. Chyba nie odczuwała jego ruchu. Upał potwierdzał fakt, że skóra żyje – wnikał w nią, popychał w zacienione fragmenty polnej ścieżki, która była kolejnym etapem dojścia do celu – wówczas – pod osłoną dzieciństwa, maleńkości, niewiedzy przetykanej iluminacjami rzeczywistości błękitnej, szarej, krwawej i zwyczajnej jak wszystko, co miało przyjść potem w skali makro.

Nałożono drogę na ten fragment życia. Jeżdżą po niej auta duże i małe, dzieci, wnuków, potomstwa waszego – naszego.

Zielone zbocze skarpy zarosło tysiącami nowych gatunków roślin, odmian traw, chwastów, przypieczętowano je betonem, wyrównano, zrównano, wydano na światło i mrok. Lśniaca czarnym blaskiem jezdnia przecina łąkę. Sama sygnowana lśnieniem farby, pasami, białymi jak ludzkie kości. Pasy równo płyną wzdłuż, są do przecinania i przestrzegania – tu ciągła, więc nie przecinamy, tu przerywana, można przecinać, ale z zachowaniem ostrożności, bo wyprzedzanie to bardzo niebezpieczny manewr. Można nie zauważyć nadjeżdżającego samochodu, można potrącić rowerzystę lub motocyklistę, który pojawia się jak duch.

Nad biurkiem wisi grafika, powielana po stworzeniu jej raz po raz, zgodnie z zamówieniem w formacie wybranym z trzech proponowanych przez właściciela sklepu internetowego. Aha, cena nie obejmuje ramki. Duże są drogie, trzeba wypośrodkować.

Oczy, jedno pod drugim, jest ich troje, raczej nie spoglądają na obserwatora. Wpatrzono się w dal nad głowami przysiadających przy biurku. Oś biegnie ponad wystukiwanym na klawiaturze tekstem, nad szelestem kartek, szpalt gazet, lampą do utwardzania lakieru, zaparzoną za wcześnie kawą, która kontynuuje odsiadkę zbyt długo, w kubku wyssanym z nowości jak dziesiątki poprzednich.

Czas topi się w niej, pęcznieje, dopija resztki smutnych minut, wesołych minut. Uśmiecha się na myśl, ile ich było i ile będzie lub ile może być. Mogłoby. Pewnie tak.

Piszesz kością. Zamalowujesz nią ślady, stawiasz kropki, mażesz, podkreślasz. Zegar patrzy, w przeciwieństwie do trójcy oczu, zastygłej w wysyłaniu strumienia ponad twoją głowę. Odlicza, ile jeszcze razy rozjaśni drogę światła szczątków wysypanych jak piach, żwir, ziemniaki na wszystkich skarpach wzdłuż wszystkich dróg, jakie się przemierzyło i przemierzy.

Piszesz zielenią traw, oprószonych białym kwieciem stokrotek, tych łąkowych przyjaciółek dziecięcych lśnień.

Babcia dziergała chusty i opowiadała. Połyskiwało w świetle lampy srebrne szydełko, a taniec jego pozostawiał wyraźne ślady ściegów kolorowych, miękkich, z

frędzlami zawiązywanymi na zgrabne supełki zaraz przy brzegu. Spomiędzy kolorowych splotów przenikał cały wówczas świat: strzelał ogień w piecu, muchy wędrowały po białej ścianie, uciekając przed najbliższym ruchem, a jednocześnie nieroztropnie pozostawiając ślady obecności, pragnienia, istnienia. Upstrzone fotografie, lustra, pudełka.

Pomiędzy – jasność, biała ściana, papier, myśl.

I głos, który powoli, stopniowo rysował przeszłość. Jak dziergana dzień po dniu chusta. Najpierw kolor fioletowy, potem szary, żółty, brązowy. I znów ta sama sekwencja, powtarzanie kolorów, żeby fragmenty były równe, chociaż niekoniecznie, bo jak któryś się skończy, to damy szybciej kolejny.

O dzieciach. O mundurach. O śledziach z beczki, kawie z cykorią. O szabaśniku. O wyjazdach na zawsze, o powrotach na chwilę.

Opowieść ta, potem kolejna i jeszcze jedna. Następnym razem sekwencja, może nie identyczna, zależy od tego, co przepuści przez ażurowy wzór i pamięć – kapryśnica, ta niezrównoważona wdowa po zdarzeniach. Po obecności, pragnieniu, istnieniu.

Opowieść snująca się jak włóczka, wplatana pomiędzy okraszone ziemniaki z kwaśnym mlekiem, słodką herbatę, polkę Lata z radiem, łyżę i zaciśniętą pięść.

Opowieść słabnąca czasem w upale, narastająca w deszczowy dzień rozszerzała się jak chusta, aby pozostać na lata w zależności od mody i potrzeb – w szafie, skrzyni, pudle na strychu, pod ręką.

Opowieść zabezpieczona warstwą werniksu, który pozostał na skarpie, dziś już nieistniejącej.